

Czarny Dunajec, dnia 17 sierpnia 1939 r.

Chociaż jak [Ci wiadomo] nie miałem zamiaru do Ciebie pisać, z powodu węzłów, które nas wiążą, jednakowoż jak nieopisaną była moja uciecha, gdym się dowiedział o możliwości skreślenia do Ciebie kilku słów, pomimo tych "węzłów". A więc jakie wrażenie na mnie wywarłaś jeszcze w Dunajcu, mogłaś trochę zauważyć jednakowoż jedną setną cząstkę nie wykazałem z tego, co czułem i myślałem. Lecz to wszystko jeszcze było jakby "kroplą w morzu", w porównaniu z tem, jakie uczucia mnie opanowały po Twoim wyjeździe. Użyję przysłowie, które nam przytacza jedno z Pism Świętych: "Gdyby wszystkie rzeki zamieniły się w atrament, całe niebo pokryło się pergaminem, a wszystkie lasy zarosłyby piórami nie zdołałbym opisać tego, jakie uczucia mnie opanowały po Twoim wyjeździe. Zaraz pierwszego dnia przed południem jakoś tego braku nie poczułem. Możliwe, iż motywy tego były te, że byłem bardzo zajęty dokończeniem różnych dekoracji [??] do rabina, który miał się właśnie odbyć tegoż wieczoru.

Jednakowoż w godzinach południowych, gdy wróciłem do domu, tak mi coś brakowało, że nie mogłem sobie miejsca znaleźć. Chodziłem tam i nazad jak otruty. Przy obiedzie nie zjadłem nawet połowy porcji, a zaraz po odejściu od stołu, położyłem się na kanapę, co umotywo wałem bólem głowy. Lecz nie było to kłamstwem. A chociaż byłem proszony na godzinę 5, bym wyszedł w gronie tutejszej Agudy na stację, byśmy przyjęli młodego pana uroczystie i z owacjami, nie uczyniłem tego. Leżałem na kanapie z zamkniętymi oczyma i myślałem o miłych minionych chwilach. Zdawało mi się, że znowu siedzimy razem przy stole i gramy w karty lub tak po prostu rozmawiamy. A nade wszystko nadzwyczaj miło i słodko mi się zrobiło, gdym sobie przypomniał Twój słodki głosik, gdy na moją prośbę (w mieszkaniu u cioci Berci) zaśpiewałaś Twym przepięknym, miłym "altem" kilka piosenek, które mi ugrzęzły w głębi duszy. Szkoda mi było otworzyć oczy, gdyż wiedziałem, że to tylko fantazja, czyli "sen na jawie" i nie chciałem, by to tak szybko znikło. Nagle to miłe przedstawienie przerwał mi głos kilku mych kolegów, którzy przyszli mi powiedzieć, że goście, a na czele z młodym panem, już przyjechali, przebierają się na stacjach i zaraz przejdą do sali przyjęć - nie wypada więc, by zastali salę nieudekorowaną. Chodziło o lampion, który zrobiłem specjalnie na to wesele. Ubrałem się.

Obejrzałem go jeszcze przed odejściem ze wszech stron, wypróbowałem jego ruchliwość i poszedłem. Lecz uczucia moje nie były podobne do uczuć idącego na wesele, raczej powiedziałbym - podobne do idącego na - Broń Boże [w oryginale Bo-e] - coś smutnego. Szedłem cały czas zamyślony ze spuszczoną prawie głową. Oczywiście koledzy nie dawali mi spokoju i zamęczali mnie pytaniami: czy mi BB [Broń Boże?] coś nie dolega? itp. Ja na wszystko odpowiadałem przecząco, że mi nic nie brakuje. Jednakowoż kłamałem i to grubo. Brakowało mi coś w sercu, w duszy, brakowałaś mi... Ty! Na szczęście na wszystko przychodzi koniec, a więc i nasz(a skreślone) [miłość? skreślone] ??? któr(a)y najwyżej trwał(a) 10 minut, a wydawał(a) się być wiekiem. Nie do wiary, ja znany, [mocny?] i dowcipny (chłopiec/człowiek), szedłem przez cały czas cichy nie wtrącając żadnego słowa do wesołej, beztrudnej rozmowy mych rozeweselonych (i zdaje się już trochę podpitych) kolegów.

Weszliśmy do sali, gdzie miało się odbyć przyjęcie młodego pana tzn. po hebrajsku "Kabalas Panim" (powinno być Kabalat Panim). Gości jeszcze nie było. Jedynie przy stołach pięknie i bogato krytych krzątała się służba i tzw. sarwerzy, których cel był, przygotować na stołach torty, cukierniki, likiery itp. oraz po kątach stali grupkami najbliżsi "machtunem", którzy dawali różne rozkazy i pouczenia.

Przyjęto mnie huczny mi owacjami. Zresztą przesadzam. Nie mnie, tylko mój lampion. Wkrótce lampion stał już na szafie i kręcił się naokoło swej osi, wewnątrz pięknie oświetlony. Wtedy posypały się ze wszech stron podziękowania i wyrażenia zachwytu, które były

kierowane do mnie (Lampion, o którym piszę jest tym, którego widziałeś w Dunajcu tuż przed ukończeniem). Lecz to wszystko mnie tak mało interesowało i nie cieszyło, że - nie czekając na przybycie gości, wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza i nieco uspokoić me naprężone nerwy.

Potrzebowałbym zużyć za dużo czasu i papieru, bym mógł wszystko opisać, co mi się tegoż wieczoru przytrafiało. Spacerując ciągle spotykałem grupki znajomych, wystrojone, spieszące na ślub. Nikt nie mógł się nadziwić, że gdy tam, na weselu gdy ludzie kipią wesołością, ja samotnie tu chodzę. Gdyż oni nie wiedzieli, co mnie brakuje. Ja jednak wiedziałem - lecz rady nie miałem. Możliwe, żebym był spóźnił całą uroczystość Kabalas Panim, gdyby mnie przypadkiem nie był spotkał syn rabina spieszący z jakimś poselstwem, który mnie wykrzyczał i poprosił, bym szybko tam poszedł, gdyż wszyscy goście pytają się któryż to ten Mejloch Kleinzahler(?), robotnik tegoż arcydzieła. Na sali pięknie oświetlonej było przepełnienie. Gdym wszedł pierwsze spojrzenie rzuciłem na lampion, czy tylko dobrze funkcjonuje. Robił swoje jak najlepiej. Teraz wszystkie spojrzenia kierowały się ku mnie, szepcząc jeden drugiemu "der iz er" (to on). Usiadłem między memi kolegami. W tej chwili usłyszałem obcy głos wołający głośno "Bucher" (Young unmarried male). Obejrzałem się. Słowo to było skierowane do mnie. Wkrótce siedziałem w pobliżu (chaser? chasena? chozera?) między najstarszemi [??] przeważnie obcymi obsypywany pytaniami i komplementami na temat lampionu. Poczęstowano mnie według tradycji "papierosem chasenowym?" i jak zwykle cukiernikiem i likierem. Z wszystkiego coś skosztowałem, oprócz wódki, gdyż moja głowa nie pozwalała mi tego. Następnie jak zwykle kilku bochorów? (bucherów) szczególnie z gości śpiewało jak zwykle przy Kabalas Panim chociaż - o ile mnie na tyle poznałaś - śpiew lubię niezmiernie, siedziałem z czołem opartym na rękach i w ogóle nie słuchałem, gdyż śpiewali po prostu brzydko. Wtedy podeszło do mnie kilku tutejszych ludzi i mnie prosili, bym coś ładnego zaśpiewał, aby im pokazać, co my potrafimy. Chociaż nie byłem odpowiednio usposobiony do śpiewania dałem się zaprosić, i po chwili już śpiewałem jeden z psalmów Dawida, p.t. ("Ranum Caduk??") Jest to pieśń przepiękna. Starłem wydać jak najlepiej, choć nie dla mojej chwały, lecz dla ogólnej, jak to później goście mówili "Dunajec się spisał".

Odtąd nie zaznałem już chwili spokoju. Zamęczali mnie bym jeszcze śpiewał. Nie uczyniłem jednak zadość ich prośbom i po dwóch lub trzech pieśniach oświadczyłem im, że dotychczas ja się darłem, a oni słuchali, teraz niech oni się drą, a ja będę słuchał. I stało się tak. Z wszech stron sali rozległ się chór "koci", który dał mi za uszy. Na szczęście koncert ten przepiękny został przerwany pojawieniem się dwóch machitanów z ich świętą, tj. rabin Wielopolski - ojciec "chasena" (właśc. chatana) i nasz rabin - ojciec "kaly". Przyjęto ich według tutejszego obyczaju owacjami i okrzykami "Mazel Tow". Zaczęto się pchać ku nim, by móc im uścisnąć rękę z życzeniem ("Lehaim?"), czyli "na zdrowie". Gdy przyszła kolej na mnie, nasz rabin wyraził niezadowolenie z powodu tej smętnej ciszy i poprosił mnie, a zarazem kazał, bym coś zaśpiewał. No i chcąc nie chcąc musiałem rozkaz spełnić, postanowiłem więc zaśpiewać pieśń wszystkim znaną, by mi mogli pomagać. Jak wielkie było jednak moje zdziwienie, a zarazem zmartwienie, gdy zacząłem śpiewać a wszyscy moi "kamraci" wraz ze mną, rabin skinął ręką ku nim i krótko wrzasnął "Er wet zich zajn štejtel alaj beštajn" (czyli żeby nikt nie pomagał). Wszystko momentalnie ucichło, tylko mój trochę drżący głos rozlegał się po sali. Nie zwlekając długo skończyłem, po czym rabin kazał, by mi podano w postaci nagrody kawałek "lejkach" (właśc. lekah). Zaraz do mnie podeszła jakaś młoda panna (jak się później dowiedziałem siostra "chasana") z pełnym talerzem ze słodyczami i miło się uśmiechając prosiła, bym skosztował. Nie dałem się długo prosić,

wziąłem kawałek, podziękowałem, i po wyrażeniu zachwytu względem lampionu, jak i względem śpiewu - odeszła.

Przez cały (wieczór?) miałem sposobność zawrzeć znajomości i bawić się wyśmienicie - nie miałem jednak cierpliwości, albowiem ciągle krążyła mi przed oczyma Twa sylwetka. Po (??) mnie. Szczególnie w stanie podпиты jak miło byłoby nam sobie trochę pogawędzić, i ... lub zagrać w karty. Było już może po północy. Orkiestra grała bez przerwy prowadząc swym taktem zachwycone w sobie roześmiane pary, a ja wykradłem się niepostrzeżenie z sali, usiadłem sobie w altanie, znajdującej się w ogrodzie - obok. Rozmyślałem. O czym? O miłych, o bardzo miłych chwilach - minionych niedawno. Szukałem nazwę na te uczucia, które mnie ciągle w mózgu łączą z Tobą, ale gdym tę nazwę znalazł, mimowoli odwróciłem głowę, gdyż zdawało mi się, że ją Tobie wyraził, a Ty za to chciałaś mnie uderzyć. Lecz czy to prawda? Sądzę, że nie. Wierzę święcie, że trochę rewanżu u Ciebie mam. Czy tak? Och jak miło i słodko na samą myśl. Nucę sobie często znaną piosenkę:

Gdy orłem być

lot sokoli mieć

wtedy chętnie popfrunąłbym tam, gdzie me myśli ciągle przebywają, tam gdzie bym mógł Ciebie spotkać, uścisnąć Ci rękę i ... uspokoić sobie me stęsknione serce. Nie gniewaj się kuzyneczko, że Cię męczę tak długim męczącym listem, gdyż gdy piszę zdaje mi się, że sobie z Tobą właśnie rozmawiam, a daj Boże jak najszybszego sprawdzenia się tego, a wtedy opowiem Ci dużo, dużo...

Z wesela wróciliśmy o godz. 5-tej nad ranem, położyłem się spać i momentalnie usnąłem. Chętnie chciałbym się podzielić z Tobą i opisać Ci te piękne sny, które towarzyszyły mi go godziny 10-tej - aż wstałem. Lecz to niemożliwe. Potrzebowałbym zapisać setki stronic, a wszystkiego jeszcze nie zdołałbym wydać, gdyż "nie wszystko co serce czuje - można na papier wyłożyć". Czekam więc na sposobność i odkładam wszystkie tęsknoty na czas, kiedy będziemy się mogli rozmówić i wtedy dowiem się o mych wątpliwościach.